Przechorowana rewolucja

ESEJ

fot. Tribune News Service via Getty Images

Marzy się nam zmiana ogromna, systemowa. Weszliśmy do domów w czasach neoliberalizmu, chcemy z nich wyjść na świat redystrybucji. Być może zmiana nadejdzie. Ale jeśli tak się stanie, będzie wyglądać inaczej, niż tego pragnęliśmy

Jesteśmy zamknięci. Zamknięci w domach w Konstancinie, w M2 na Ursynowie, w kamienicach w Łodzi, oficynach w Wałbrzychu, apartamentach z widokiem na Central Park, mieszkankach z widokiem na studnię w Rzymie, w slumsach w New Delhi. Zamknięci z dziewczyną, mężem; z dziećmi, jednym, dwójką, trójką; zamknięci z psem, kotem, dwoma, pięcioma i chomikiem; jesteśmy zamknięci sami. Jakże zróżnicowana jest nasza armia zamkniętych. Wręcz prosimy się o grupowe zdjęcie do broszury reklamującej Ziemię – czarni, biali, brązowi, grubi, chudzi, biedni i bogaci. Niestety, zdjęcie musi poczekać; nie możemy chwilowo opuścić domów. Jedno, co możemy, to śnić – i wielu z nas śni. Nie możemy działać, ale śnimy z rozmachem. O Wielkiej Rewolucji, która nastąpi, kiedy nas wypuszczą.

Co to za rewolucja? Ogromna, systemowa. Lewicowa, antykapitalistyczna. Weszliśmy do domów w czasach triumfującego neoliberalizmu, szalonych nierówności społecznych, globalizacji, która zdziczała oraz osobistej alienacji od pracy i od naszych wspólnot; chcemy z nich wyjść na świat redystrybucji, podatku majątkowego, zdrowego lokalizmu, sprawnych usług publicznych i głębszych relacji międzyludzkich – a kto wie, może i ekologicznej równowagi.

Być może rewolucja nadejdzie. Ale jeśli tak się stanie, będzie wyglądać inaczej, niż tego pragnęliśmy. A w samym środku nowego systemu najprawdopodobniej będzie czekać na nas niespodzianka: próżnia; emocjonalna pustka.

Będzie to bowiem rewolucja, którą prześnimy. A może raczej: przechorujemy.

Wirus wiodący lud na barykady

Może nie są państwo przekonani, że w COVID-19 widzimy nowego Che, a przynajmniej Roosevelta. Przecież pandemia jest zjawiskiem tragicznym; niesie ze sobą śmierć i rozpad – czy naprawdę pokładamy w niej takie nadzieje? Ależ owszem, tak; śnimy o koronawirusowej rewolucji. Na całym świecie się o tym mówi – wystarczy posłuchać.

Weźmy choćby znienawidzone nierówności społeczne. W „The New York Times" profesor Uniwersytetu Stanforda Walter Scheidel dzieli się nadzieją na progresywną zmianę, pisząc artykuł „Why the Wealthy Fear Pandemics" („Dlaczego bogaci boją się pandemii"). Bogaci boją się pandemii mianowicie dlatego, że mają one brzydki zwyczaj wywracania porządku społecznego do góry nogami. Przykład historyczny: kiedy w 1347 r. szczury przywlekły dżumę do Europy, ogromne masy ludzi zmarły, co spowodowało brak rąk do pracy. Przytaczany przez Scheidela anonimowy kronikarz angielski ujął to następująco: „Taki wielki nastąpił brak pracowników, że warstwy niskie zadarły nosy w górę i ledwo można było je przekonać do pracy dla panów nawet za potrójne stawki". Właściciele ziemscy w Anglii wpłynęli więc na Koronę, by zobowiązała pracowników do pracy za normalne pieniądze, ale ci niewiele sobie z tego robili i nadal żądali wysokich wynagrodzeń. I tak właśnie pandemia może zmienić równowagę klasowych sił. Dynamika władzy i wpływu dzięki zarazie zmieniła się dość radykalnie, nawet jeśli „roszczeniowych" chłopów ciągano potem po sądach.

O podobnym mechanizmie pisze też „The Guardian", piórem Richarda Powera Sayeeda, autora książki o klęsce lewicowych dążeń w Wielkiej Brytanii „1997: The Future that Never Happened" („1997: Przyszłość, która się nie wydarzyła"). Rewolty chłopskie, twierdzi on, zdarzały się zawsze, ale dopiero Czarna Śmierć spowodowała, że stały się skuteczne. Między 1350 a 1400 r. płace w rolnictwie wzrosły o 50 proc. dla mężczyzn i o 100 proc. dla kobiet. A opłaty za ziemię zaczęto płacić gotówką, a nie pracą, co pokazuje, jak wielu ludzi zdołało się wyzwolić spod władzy panów. Parę wieków później zaś, w świecie tuż sprzed Olivera Twista, w którym klasy niższe tłoczyły się w miastach, przymierając głodem, pandemia, w postaci hiszpańskiej grypy, znów wywróciła stolik – a przynajmniej mocno nim zachybotała. To właśnie jej mroczne żniwo, według Sayeeda i wielu innych badaczy, stworzyło podwaliny dla europejskiego państwa opiekuńczego.

Lewackie me serce się raduje – czyż to nie cudowne? Jasne, pandemia jest zła... ale przecież nierówności też? Coś w sercach złaknionego sprawiedliwości społecznej, uwięzionego w domach ludu szepcze: „A jeśli zapaść ekonomiczna i śmierć to po prostu cena, którą należy zapłacić za wyrównanie ekonomicznego pola"? Logika dziejów nie jest jednak niestety tak prosta jak formuła: N (nierówności) + P (pandemia) = MP (moralny postęp). Po pierwsze, owe zwycięstwa pracy nad kapitałem bywały raczej chwilowe; często wkraczała na scenę też doktryna szoku, czyli leczenie niewydolności państwa jego dalszą prywatyzacją. Po drugie sam Sayeed pisze, że o ile w niektórych rejonach hiszpanka polepszyła warunki życia klas niższych, o tyle w samej Hiszpanii, gdzie elity wprowadziły „sanitarną dyktaturę", związana z chorobą militaryzacja przygotowała kraj nie do sprawiedliwości społecznej, ale do faszyzmu. Czyli na dwoje babka wróżyła. Ale Sayeed marzy, a my razem z nim: nam może się udać pójść tą dobrą drogą. Wyobraźcie sobie na przykład, pisze, jaką polityczną moc mogą mieć dotknięci pokoronawirusową zapaścią lokatorzy, jeśli się zjednoczą przeciwko żądającym opłat właścicielom. „Jak chłopi, którzy zjednoczyli się przeciwko swoim panom, korzystając z ich zapotrzebowania na pracę, dzierżymy teraz w rękach ogromną moc – ale tylko, jeśli będziemy walczyć razem".

Pandemia jawi się więc niektórym jako agent potencjalnej redystrybucji władzy ekonomicznej. A kiedy już poczujemy w rękach tę ogromną moc, którą wręcza nam wirus, wtedy (a co!) możemy nawet zażądać uniwersalnego dochodu podstawowego (UBI). Wszystko będzie możliwe, skoro w obliczu COVID-19 nawet gazety w rodzaju „Financial Timesa" zaczynają domagać się redystrybucji. Przytoczę fragment, bo to przecież historyczna chwila, gdy gazeta uznawana za biuletyn kapitalistów pisze: „(Rządy) muszą spojrzeć na usługi publiczne jako na inwestycje, nie jak na ciężar; rynki pracy muszą stać się mniej niestabilne. Na listę potrzebnych działań musi wejść redystrybucja; przywileje starszych i bogatych podważone. Trzeba wziąć pod uwagę narzędzia polityczne uznawane dotąd za ekscentryczne – takie jak dochód podstawowy i opodatkowanie majątku".

Zatrzymam się na moment przy zestawieniu starsi i bogaci – w społeczeństwie o dość stabilnych klasach, jak brytyjskie, te dwie grupy mają o wiele większą niż u nas część wspólną. Także w USA kwestia pokoleniowa przeplata się z ekonomiczną i lewicowa rewolucja ma być zarazem przewrotem młodych przeciwko starym. Pokolenie amerykańskich baby boomers (wiek: tak dookoła Hillary Clinton) od kilku dobrych lat zbiera cięgi za... właściwie wszystko. Od książek takich, jak „The Theft of a Decade: How the Baby Boomers Stole the Millennials' Economic Future" („Kradzież dekady: jak pokolenie baby boomers ukradło ekonomiczną przyszłość millenialsom") Josepha Sternberga z „Wall Street Journal" po internetowe memy „OK boomer", starsze pokolenie jest obwiniane o zniszczenie środowiska, neoliberalizację gospodarki, niekontrolowaną globalizację, schlebianie finansjerze, interwencjonizm polityczny i antysocjalistyczne zawężenie „dopuszczalnego" języka polityki. Może i Bernie Sanders, niedoszły „lewacki" kandydat demokratów na prezydenta, sam jest boomersem, ale jego wizja polityki prospołecznej pociągała głównie młodzież. I dlatego wśród łaknących socjalnej rewolucji młodych krąży dziś cicha, niewypowiadana, psychologicznie podejrzana schadenfreude. Bo kogo zabija koronawirus? Ano właśnie. Najczęściej ludzi starszych. W głębinach lewicowego Twittera można natknąć się na anonimowe kwiatki w rodzaju: „Całe życie głosujesz na republikanów albo demokratycznych centrystów. Trafiasz do szpitala. Jesteś zły, że prywatna służba zdrowia nie może zaoferować ci respiratora? OK boomer!". Czyżby, szepcze na wpół wstydliwie progresywna młodzież, COVID-19 był jak francuska gilotyna, która wymierza straszne kary, wypełniając tym samym historyczną (pokoleniową) sprawiedliwość?

> **Pandemia jawi się jako agent potencjalnej redystrybucji władzy ekonomicznej. Wszystko będzie możliwe, skoro w obliczu COVID-19 nawet gazety w rodzaju „Financial Timesa" zaczynają się tego domagać**

Wyśniona rewolucja lewicowa to często nie tylko przewrót klasowy – to także przewrót z gatunku kopernikańskich, który ma odebrać człowiekowi uzurpowane przezeń centralne miejsce w hierarchii natury. Tam od zarania ustawiała go religia, a potem także oświecenie – jako podmiot rozumny potrafił zaprząc naturę do realizacji swoich celów. Z punktu widzenia lewicowej wrażliwości taka metafizyka to nie tylko problem człowieczej pychy, ale przede wszystkim przekonanie, które zabija – zabija, bo wyjaławia ziemię, zasnuwa smogiem miasta, niszczy habitaty dzikich stworzeń, hoduje w strasznych warunkach zwierzęta na ubój i prowadzi do kryzysu klimatycznego.

Jak się okazuje, i tu COVID-19 przychodzi marzycielom w kwarantannie w sukurs. Po pierwsze, pokazuje wyraźnie naszą ludzką kruchość w obliczu natury, której wirus jest wszakże częścią. Komentując pandemię, Inger Andersen, szefowa programu ONZ do spraw środowiska, powiedziała, że „natura wysyła nam wiadomość". Niektórzy w koronawirusie, który najpewniej nie uciekł z chińskiego laboratorium, ale przeszedł na nas ze sprzedawanego na targu zwierzęcia, widzą wręcz ostrzeżenie przed jedzeniem mięsa – na stronie PETA czytamy: „Od wirusów po raka, jedzenie zwierząt przynosi śmierć i nam, i im. Jeśli będziemy nadal jeść mięso, ten koronawirus nie będzie naszą ostatnią pandemią". Popularny wegański influencer Ed Winters (Earthling Ed) napisał na Instagramie, że epidemia taka jak COVID-19 w ogóle nie miałaby miejsca, gdybyśmy nie hodowali i nie jedli naszych braci mniejszych. Jasne, że zdrowotne ryzyko związane z jedzeniem dzikich zwierząt jest większe niż to związane z hodowlą, wyjaśniał potem – ale hodowla przemysłowa, która ma ogromny ślad węglowy, to jedna z ważnych przyczyn kryzysu klimatycznego. Ten zaś stwarza coraz lepsze warunki do migracji drobnoustrojów ze zwierząt na ludzi, nawet jeśli nie będziemy bezpośrednio spożywać niedogotowanych nietoperzy (najprostszym przykładem jest malaria, którą roznoszą ciepłolubne komary).

Sama hodowla zwierząt nie stworzyła jednak kryzysu klimatycznego; stworzył go nasz styl życia, w którym technologia od lat próbuje skrócić wszelki dystans. Dystansem informacyjnym z powodzeniem zajmuje się Dolina Krzemowa, dystansem fizycznym zaś przemysł paliw kopalnych. Dzięki samochodom możemy mieszkać na przedmieściach i dojeżdżać do pracy; dzięki kontenerowcom możemy cieszyć się gadżetowymi durnostojkami z Chin i tanimi śpioszkami; dzięki samolotom możemy wysłać ekspresową przesyłkę za granicę, dojeżdżać do pracy do Anglii i jechać na weekend do Barcelony. Moi pracujący w konsultingu znajomi, pamiętam te zamierzchłe czasy sprzed półtora miesiąca, uznawali tydzień bez dwóch lotów za granicę za „luźny"; dziś tkwią w marynarkach i bez majtek przed ekranami komputera, zasilając obliczami telekonferencje. Są co prawda samochody elektryczne, prawdziwe (Elona Muska) i wyśnione (premiera Morawieckiego), ale w Polsce, która lubi rozpędzać elektrony w przewodnikach wyłącznie za pomocą węgla, brudzą one atmosferę bardziej niż stare diesle.

Koronawirus uciął ten pęd; zatrzymał kontenerowiec, który zostawiał za sobą kilwater węglowy; zamknął nas w domach i pokazał, że są rzeczy ważniejsze od zwiększania PKB i zmniejszania dystansu. A progresywni komentatorzy mają nadzieję, że symbolizowana przez niego globalizacja po pandemii magicznie wyhamuje. Zuzanna Skalska, zajmująca się przewidywaniem zmian dla biznesu, mówi: „Raczej czeka nas świat wielu prędkości, lokalnych rozwiązań, wieloformatowości" (wywiad z Z. Skalską na str. 30 – red.). Profesor John Bryson z Uniwersytetu w Birmingham, ciesząc się, że pandemia wyhamowała emisje gazów cieplarnianych, napisał, że „koronawirus przyćmiewa Gretę Thunberg". Przekaz jest jasny: Greta nie poprowadziła nas skutecznie na barykady; może lepiej zrobi to patogen. Zwłaszcza że wydaje się, iż nagle, dzięki pandemii, pojawiło się przyzwolenie społeczne na radykalne zmiany. W badaniu YouGov (niezbyt rygorystycznym) wyszło, że tylko 9 proc. Brytyjczyków chce całkowitego powrotu do „starego" trybu życia. Pandemia owszem, bardzo ich martwi, ale cieszą ich niektóre rzeczy, np. zadziwiająco czyste powietrze.

Kwestia skrócenia łańcuchów dostaw, o której mówi Skalska, jest ważna nie tylko z punktu widzenia kryzysu klimatycznego. To także sprawa bardzo istotna dla sprawnego działania bezpiecznego państwa. Chiny, które długo „kryły" zalążek pandemii, stały się już dawno światowym centrum produkcji – doprowadziła do tego polityka cięcia korporacyjnych kosztów w parze z globalizacyjnym pędem. Wielka Brytania nie może sama wyprodukować patyczków do wymazu; dziś kupuje je z Chin, często po zawrotnej cenie sześć funtów sztuka. Polski premier wita z fanfarami samolot wiozący sprzęt medyczny z Chin, bo choćby przyszło tysiąc szwaczek polskich i każda zjadłaby tysiąc kotletów, to nie udźwigną zapotrzebowania służby zdrowia na maseczki i ubiór ochronny. Wiele zachodnich krajów nie ma możliwości wyprodukowania podstawowego sprzętu laboratoryjnego, choćby nie wiem, jak się wytężały. Wielka rewolucja lewicowa ma w centrum swoich marzeń państwo silne usługami publicznymi, zapewniające obywatelom bezpieczeństwo w sposób, który jest, by użyć terminu Nassima Taleba, „antifragile"– antykruchy, czyli odporny na działania losu. Cóż lepiej niż koronawirus uświadomi nam, że prawdziwe szpitale poznaje się w biedzie i raczej nie będzie wśród nich lecznic prywatnych?

Innym skutkiem ubocznym pandemii, w którym progresywna brać chętnie upatruje zalążka rewolucji, jest wielki i powszechny „wkurz" na filantropów celebrytów. Z toksyczną przyjemnością oglądaliśmy wyczyny Elona Muska, który najpierw bagatelizował zagrożenie koronawirusem, a potem, kiedy już się opamiętał, nabył ponad tysiąc respiratorów – oczywiście z Chin. Skąd Elon miał dostęp do tylu respiratorów, skoro rządy całej masy krajów próbowały się do takich maszyn dostać? Ano znikąd; większość muskowych „respiratorów", na których opakowania, nie wiedzieć czemu, nalepił napis „Tesla", okazała się maszynami CPAP używanymi w leczeniu nocnego bezdechu, których w USA są nieprzebrane masy. Internet miał używanie, a ja piszę o tym dlatego, że perypetie Muska czy Dominiki Kulczyk, która przekazała 20 mln na walkę z wirusem, są kolejnym kamyczkiem do ogródka potencjalnej lewicowej rewolucji. Niegdyś my, chamy, kłanialibyśmy się w pas dobroczyńcom; dziś, ośmieleni pandemią, piszemy na Facebooku i Twitterze, że pan Zenek z Ursusa dał na „kowida" 30 zł i to stanowi większy procent jego dochodów niż datki pani Kulczyk, a państwo filantropi niech sobie wsadzą te maszyny i pieniądze, gdzie należy, bo lepiej by służbie zdrowia zrobili, uczciwie płacąc podatki.

Świadomość klasowa budzi się zresztą nie tylko w obliczu wielkich bogaczy, ale i „zwykłych" celebrytów. Jennifer Lopez wrzuca do sieci filmik z „izolacji", na którym jej synek jedzie z drinkami w kierunku basenu na jednej z tych magicznych samojeżdżących deskorolek. Nikt się nie uśmiecha, wszyscy są oburzeni, że drinkowanie nad basenem można nazywać kwarantanną. Amanda Hees w „The New York Times" twierdzi, że „kultura celebrytów się skończyła" i jako dowód podaje reakcję fanów na apel Pharella Williamsa, by fani jego muzyki wspomagali finansowo służbę zdrowia („Wirtualnie złapali go za spodnie i obrócili do góry nogami, każąc mu najpierw opróżnić własne kieszenie"). Aktorka Gal Gadot chciała coś zrobić dla biednych, pozamykanych w domach mas, więc ze sławnymi przyjaciółmi nagrała filmik, na którym podnoszą nas na duchu, śpiewając (To dla nas! To dla nas!) „Imagine" Lennona; zamiast wdzięczności spotkały ją obelgi i hashtag #guillotine2020. Czyż to nie potrzeba rewolucji wisi w powietrzu?

Jeśli ktoś czuje ducha dziejów często pocieranym nosem, to jest to specjalista od Hegla – Slavoj Žižek. W ekspresowo przygotowanej książce „Pandemic!" pisze tak: „Nie powinniśmy się bać zauważania potencjalnie korzystnych efektów pandemii. Jednym z symboli tej sytuacji są statki wycieczkowe z uwięzionymi na nich pasażerami w kwarantannie. A niech znikną te obsceniczne pojazdy, myślę sobie. (...) Parki rozrywki zmieniają się w puste miasta duchów – świetnie, nie jestem sobie w stanie wyobrazić nudniejszego i bardziej głupkowatego miejsca niż Disneyland. Cierpi produkcja samochodów? Super, może wreszcie skończy się nasza obsesja indywidualnego transportu". I dodaje: „Być może inny, bardziej pożyteczny wirus nas zarazi; wirus ideologiczny. Wirus myślenia o alternatywnym społeczeństwie, społeczeństwie istniejącym poza państwem narodowym, społeczeństwie, które aktualizuje się w formie globalnej solidarności i kooperacji".

Nie ma więc wątpliwości, że COVID-19 obudził w nas marzenie o radykalnej zmianie. Zmianie, która w drobny mak roztrzaska neoliberalny system i statki wycieczkowe; która wreszcie przyniesie kres kultu PKB i zatroszczy się o nasze szczęście i nasz dobrobyt. Zwiastuny tej zmiany już są – czyż rząd Danii nie odmówił pomocy firmom, które rejestrowały się w rajach podatkowych? Czyż nie okazało się, że można pracować w domu, łącząc życie rodzinne z zawodowym? Czy nie doceniliśmy nagle pracy nauczycieli, pielęgniarek, dostawców i kurierów? Czy to wszystko nie znaczy, że będzie, że po prostu musi być lepiej?

Bezmyślny Robespierre

Po pierwsze: oczywiście nie musi. Doktryna szoku zawsze czyha za rogiem, gotowa wykorzystać problemy systemów publicznych do ich dalszej prywatyzacji. Mali przedsiębiorcy mogą zbankrutować, a bankom pomogą, jak w 2008 r., rządy. Poza tym tak jak hiszpanka zmilitaryzowała Hiszpanię, tak koronawirus może zautorytaryzować demokrację. Gdzie raz władza wciśnie inwigilujące ślepia, tam chce zaglądać już zawsze – a my, w trosce o zdrowie nasze i bliskich, akceptujemy powoli dotąd niesłychane sposoby elektronicznej kontroli. Nie ulega zresztą wątpliwości, że demokratyczność systemu jest de facto przeszkodą w pokonywaniu zagrożeń epidemiologicznych – ludzie w demokracjach nieustannie domagają się praw, zajmuje ich żywo jakość ich życia i bardzo nie lubią bać się władzy. Prawa człowieka w utylitarystycznym rachunku są, co tu dużo mówić, zawalidrogą w podróży do powszechnego wyzdrowienia; dlatego też sprawne pozbycie się wirusa może być pierwszym krokiem do zrobienia z demokracji ozdobnej wydmuszki. Jak pisał izraelski historyk Yuval Harari w „21 lekcjach na XXI wiek", dotychczasowe zwycięstwa demokracji jako systemu niekoniecznie polegały na jej wartości moralnej, ale raczej na jej możliwości zdecentralizowanego i elastycznego reagowania na zmieniające się informacje. Gdy technologia osiągnie stopień zaawansowania pozwalający na równie sprawne centralne zarządzanie, demokracja z dużym prawdopodobieństwem może skończyć na intensywnej terapii bez respiratora.

Ale porzućmy te mroczne dywagacje i wyobraźmy sobie przez moment, że wiele z tych rewolucyjnych snów się ziści. Że wyjdziemy z izolacji w świat, w którym PKB jest mniej ważne od szczęścia, nierówności się zmniejszają, państwo zapewnia nam dochód podstawowy, gospodarka i życie się lokalizują, antropocentryzm odchodzi w zapomnienie, natura zaczyna być traktowana z należytym szacunkiem. Czy widząc ten świat, będziemy chcieli odśpiewać odę do radości?

Otóż jest wiele aspektów takiej hipotetycznej rewolucji, jadącej na grzbiecie SARS-CoV-2, których należy się bać. Przypomina mi się opowieść, której morałem było: uważaj, czego sobie życzysz. Oto matka, której syn zmarł, życzy sobie, by powrócił – i syn powraca, życzenie się spełnia, ale zamiast się cieszyć, jest przerażona, bo syn wyszedł z grobu jako zgniłe ciało i w tej postaci zapukał do jej domu. Czy ma się cieszyć, czy raczej krzyczeć z rozpaczy? Jeśli nawrócenie świata na UBI i czyste powietrze wymaga zapaści systemu ekonomicznego, tysięcy ofiar koronawirusa, bankructwa milionów ludzi, zamieszek, wypalenia zawodowego i psychicznego pracowników medycznych, kryzysu zdrowia psychicznego ogromnej liczby ludzi, przyrostu przemocy domowej w kwarantannie, śmierci związanych z przeciążeniem systemu opieki zdrowotnej i wielu innych tragicznych zjawisk, to nagle rewolucja owa wygląda jak nie do końca chciane zombie znienacka pojawiające się na naszym progu.

Rozumiem jednak nastawienie pod tytułem „Niech stanie się najgorsze, żeby na zgliszczach mógł powstać nowy, wspaniały świat". Może trzeba twardym być, nie miętkim; kto wie, może czasem trzeba podpalić róże, by nie spłonęły lasy. Ale wtedy pojawia się inny problem z taką hipotetyczną rewolucją, a mianowicie ten opisany przez Andrzeja Ledera. Przypomnę: w „Prześnionej rewolucji" Leder dowodzi, że w latach 1939–1989 polski naród przeszedł stopniową przemianę, jakiej nieświadomie pragnął – pozbył się Żydów, odszedł od feudalizmu, zindustrializował się. Jednak żadnej z tych rzeczy ów naród nie zrobił sam – dokonali tego naziści i komuniści. To ich rękami pasywny naród czynił te skrycie wyśnione rewolucyjne kroki, z tym że nagle owe ciche sny okazały się, jak w historii o zmarłym synu, koszmarami. Rewolucja ta była prześniona, bo była zarazem przespana i wyśniona; jej efekty nigdy nie mogły być porządnie przez nas przyswojone, bo zrodziły się w grzechu; w koszmarach, które nosiły znamiona naszych pragnień. No i nie my byliśmy jej autorami, byliśmy pasywnymi obserwatorami z pozornym poczuciem sprawstwa. Czy myśmy to uczynili? Czy też raczej stało się to mimo nas? Leder twierdzi, że kryzys tożsamości polskiej klasy średniej ma źródło właśnie w tym dwuznacznym źródle zmian, które ją stworzyły.

A koronawirus odebrał nam z hukiem poczucie sprawstwa i kontroli. Odebrał je w aspekcie najbardziej intymnym, fizjologicznym; nie możemy się poruszać, nie możemy dotykać innych ludzi. Odebrał je też na poziomie planowania życia – jak możemy mieć poczucie życiowego sprawstwa, gdy okazuje się, że nasze murowane domy są jak namiot, który pan Maluśkiewicz rozbił na wielorybie, którego wziął za wyspę? Wieloryb się rusza, a spod kontroli wymyka się nam wszystko, od kupna papieru toaletowego po sytuację geopolityczną. Każda rewolucja, która będzie mieć miejsce w takich warunkach, będzie, w sensie Ledera, rewolucją prześnioną – i jako taka nigdy nie będzie naprawdę nasza, a co za tym idzie, jej efekty nie będą mentalnościowo stabilne. Będzie miała bowiem swoje źródło w koszmarze śmierci i recesji; będzie stworzona nie przez nas, ale przez siłę bezwolną, przypadkową i bezrozumną – replikujący się bezmyślnie patogen.

I jeszcze jedno: jest pokusa, by myśleć o pandemii tak, jak mówiła Inger Andersen: jako o wiadomości, którą wysyła ludzkości wszechświat. Może się nam wydawać, że świat, wypuszczając na nas wirusa, kieruje nas na lewo. Tak jednak nie jest; może zdarzyć się wszystko. Skonkluduję tę myśl jeszcze jednym cytatem z Žižka: „Nie powinniśmy dać się skusić pragnieniu, by traktować epidemię jako coś, co ma głębsze znaczenie – jako okrutną, ale słuszną karę dla ludzkości za bezlitosną eksploatację życia na Ziemi. Jeśli szukamy takiego ukrytego przekazu (...) traktujemy wszechświat jak partnera w komunikacji. I nawet jeśli nasze przetrwanie jest zagrożone, wciąż znajdujemy pewne pocieszenie w fakcie, że wszechświat (albo ktoś w tym wszechświecie) nami się zajmuje, że w jakiś istotny sposób liczymy się. Najtrudniejszą do zaakceptowania rzeczą będzie to, że epidemia jest wynikiem najczystszego przypadku, że po prostu zdarzyła się i nie ma w niej żadnych znaczeń".

Kiedy już wyjdziemy z domów, aneksów, oficyn, schronów i schronisk; kiedy wyślemy dzieci do szkół, wypuścimy koty do ogrodów i udamy się na spotkania i na randki, wtedy właśnie możemy naprawdę rozpocząć zmiany. Ale róbmy to świadomie, róbmy to aktywnie; nie wyręczajmy się wirusem, nie zrzucajmy na niego odpowiedzialności za moralną czy polityczną rewolucję. Róbmy to w zrozumieniu, że konieczność dziejowa nie istnieje i nikt w całym wszechświecie nie wie, co się może zdarzyć. Wtedy będzie to rewolucja nie przechorowana, ale przeprowadzona, prawdziwa, taka, w której możemy zamieszkać.

Możemy też pójść do miasta na kolację i do baru na piwo. Tak właśnie będzie; jeśli jest bowiem w dziejach jakakolwiek prawidłowość, to ta, która mówi nam: ludzkość zawsze najbardziej pragnie jednego: chwilowego ugłaskania wieloryba. ©℗

> **Nie wyręczajmy się wirusem, nie zrzucajmy na niego odpowiedzialności za moralną czy polityczną rewolucję. Róbmy to w zrozumieniu, że konieczność dziejowa nie istnieje i nikt nie wie, co się może zdarzyć. Wtedy będzie to rewolucja nie przechorowana, lecz przeprowadzona, prawdziwa, taka, w której możemy zamieszkać**

Autor
Karolina Lewestam

Poprzedni artykuł
Dziś w DGP

Następny artykuł
Alfabet pandemii

© 2020 INFOR.PL